

CARSTEN HENN

**spacerujący
z książkami**

PRZEŁOŻYŁA
DANUTA FRYZOWSKA

MARGINESY

Der Buchspazierer

COPYRIGHT © Pendo Verlag in der Piper Verlag GmbH, München

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Danuta Fryzowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Dla wszystkich księgarzek i księgarzy,
którzy zapewniają nam wyjątkową strawę
nawet w czasach kryzysu

Romans jest jak smyczek; skrzypce, które
wydają ton, to dusza czytelnika.

Stendhal

(przeł. Tadeusz Boy-Żeleński)

Sam sobie panem

Mówi się, że książki same znajdują czytelników – czasem jednak potrzebują kogoś, kto wskaże im drogę. I tak się zdarzyło tego późnoletniego dnia w księgarni, która nosiła nazwę Pod Miejską Bramą, mimo że owa brama – a raczej jej ruiny, przez większość mieszkańców uznawane za śmiałe dzieło sztuki – mieściła się całe trzy skrzyżowania dalej.

To była bardzo stara księgarnia, którą wznoszono i rozbudowywano przez kilka epok. Obok gołych kątów prostych znalazły się ozdobne floresy i gipsowe stiuki. Stare współlistniało z nowym, wyszukanie z prostotą, nie tylko na zewnątrz, ale też w środku. Czerwone plastikowe stojaki z płytami DVD i CD stały obok zmatowiałych metalowych regałów wypełnionych mangami, a te z kolei – obok wypolerowanych szklanych witryn z globusami bądź też eleganckich drewnianych regałów z książkami. Sprzedawano tam także gry planszowe, papeterię, herbatę i od niedawna

nawet czekoladę. W pełnym zakamarków głównym pomieszczeniu dominował ciężki ciemny kontuar, zwany przez pracowników ołtarzem. Wyglądał, jakby pochodził z baroku. Z rzeźbieniami na froncie przedstawiającymi wiejską scenkę rodzajową, a konkretnie myśliwych na pięknych rumakach w otoczeniu sfory zwinnych psów goniących za zgrają dzików.

I oto właśnie w tejże księgarni padło pytanie, które księgarniom nadaje sens istnienia:

– Mogłaby mi pani polecić jakąś książkę?

Ursel Schäfer, która je zadała, świetnie wiedziała, co wyróżnia dobrą książkę. Po pierwsze, była tak zajmująca, że Ursel czytała ją w łóżku, dopóki nie zasnęła. Po drugie, przynajmniej w trzech, choć lepiej w czterech miejscach doprowadzała ją do łez. Po trzecie, liczyła nie mniej niż trzysta stron, ale nigdy więcej niż trzysta osiemdziesiąt, a po czwarte, okładka nie mogła być zielona. Książkom z zielonymi okładkami nie można ufać. Przekonała się o tym niejednokrotnie.

– Z przyjemnością – odparła Sabine Gruber, która od trzech lat prowadziła tę księgarnię. – Co lubi pani czytać?

Ursel Schäfer nie chciała tego zdradzać, chciała, żeby Sabine Gruber to wiedziała, bo jest księgarką, a zatem z natury powinna być obdarzona swego rodzaju darem jasnowidzenia.

– Proszę podać trzy hasła kluczowe, a ja już znajdę dla pani coś odpowiedniego. Miłość? Południowa Anglia? Klasyczne romansidło? Tak?

– Jest może pan Kollhoff? – spytała lekko zaniepokojonym tonem Ursel Schäfer. – On zawsze trafia bezbłędnie w mój gust. On trafia bezbłędnie we wszystkie gusta.

– Nie, niestety dzisiaj go nie ma. Pan Kollhoff pracuje u nas już tylko sporadycznie.

– Szkoda.

– O, mam coś dla pani. Saga rodzinna, której akcja toczy się w Kornwalii. Proszę spojrzeć, na okładce widać czarującą posiadłość owej rodziny i otaczający ją wielki park.

– Jest zielona – oznajmiła Ursel Schäfer i spojrzała z wyrzutem na Sabine Gruber. – Soczyście zielona!

– Bo fabuła rozgrywa się głównie w pięknym parku należącym do hrabiego Durnborough. Książka zebrała same świetne recenzje!

Ciężkie drzwi wejściowe otworzyły się nagle i zadzwonił wiszący nad nimi miedziany dzwoneczek. Carl Kollhoff złożył parasol, rutynowo nim potrząsnął i włożył go do stojaka. Następnie rozejrzał się po księgarni, którą nazywał swoją ojczyzną, wypatrując nowych książek, które pragnęły trafić do jego klientów. Czuł się przy tym jak kolekcjoner zbierający muszle na plaży. I już na wejściu znalazł kilka cudniek, które

tylko czekały, aby je podniósł i oczyścił z ziarenek piasku. Kiedy jednak spostrzegł Ursel Schäfer, ni stąd, ni zowąd stracił nimi zainteresowanie. Kobieta posłała mu serdeczny uśmiech, jakby był zlepkiem wszystkich czarujących mężczyzn, w których się zakochała podczas lektury książek – książek, które Carl jej przez te wszystkie lata polecił. A przecież ani trochę nie przypominał żadnego z nich. Kiedyś miał mały brzuszek, jednak ten z czasem zniknął, podobnie jak włosy na głowie, zupełnie jakby się zmówiły, że opuszczą go razem. Dziś, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, był chudszy, ale nadal chodził w tych samych starych, za dużych ubraniach. Jego dawny szef zwykł mawiać, że wygląda przez to, jakby żywił się już tylko słowami ze swoich książek, a te są ubogie w węglowodany. „Ale jakże treściwe” – odpowiadał niezmiennie Carl.

Nosił ciężkie, toporne skórzane buty, które miały tak grube cholewki i podeszwy, że wystarczyłyby mu na całe życie. Do tego porządne skarpety, rzecz bardzo ważna. Poza tym oliwkowe ogrodniczki i kurtkę z kołnierzem w tym samym kolorze.

Na głowie zawsze miał miękką wędkarski kapelusz z małym rondem, który chronił przed deszczem i oślepiającym słońcem. Nie zdejmował go nawet we wnętrzach, wyłącznie do snu. Bez niego czuł się niekompletnie ubrany. Równie rzadko widywano go bez

okularów, które kupił wieki temu w jakimś sklepie ze starociami. Za okularami kryły się mądre oczy, które zwykle sprawiały wrażenie, jakby czytał zbyt długo przy słabym świetle.

– Pani Schäfer, miło panią widzieć – powiedział i podszedł do Ursel Schäfer, która także ruszyła w jego stronę, zapominając o Sabine Gruber. – Czy mogę polecić pani książkę, która będzie się wspaniale prezentować na pani nocnym stoliku?

– Ta ostatnia bardzo mi się podobała, zwłaszcza że na końcu spoglądają sobie w oczy. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby się pocałowali. Ale w tym przypadku samo spojrzenie wystarczyło.

– Ono było nawet intensywniejsze niż pocałunek. Czasami tak bywa.

– Nie kiedy to ja całuję! – oświadczyła Ursel Schäfer i poczuła się cudownie frywolnie, co zdarzało jej się już bardzo rzadko.

– Ta książka – Carl wziął jedną ze stosiku obok kasy – czeka na panią, odkąd została rozpakowana. Rzecz dzieje się w Prowansji i każde słowo pachnie lawendą.

– Bordowe książki są najlepsze! A ta kończy się pocałunkiem?

– Czy kiedykolwiek zdradziłem pani zakończenie?

– Nie! – Obrzuciła go pełnym wyrzutów spojrzeniem, ale wzięła od niego książkę.

Oczywiście Carl nigdy nie poleciłby jej powieści bez happy endu. Ale w żadnym wypadku nie chciał pozbawiać Ursel Schäfer tego dreszczyku emocji związanego z niepewnością, czy tym razem nie będzie inaczej.

– Tak się cieszę, że mamy książki – oznajmiła. – Oby to się nigdy nie zmieniło! Tyle rzeczy się zmienia, i to tak szybko. Wszyscy płacą już tylko kartami. Ilekroć stoję przy kasie i odliczam dokładną kwotę w monetach, ludzie dziwnie na mnie patrzą!

– Słowo pisane pozostanie na zawsze, pani Schäfer. Bo pewnych rzeczy po prostu nie da się lepiej wyrazić. A druk to najlepsza metoda konserwacji myśli i historii, które w książkach mogą przetrwać całe wieki.

Carl Kollhoff pożegnał ją ciepłym uśmiechem i wyszedł przez oklejone plakatami reklamowymi drzwi do pokoju, który pełnił jednocześnie funkcję magazynu i biura. Na biurku piętrzyły się książki, brzeg ekranu starego komputera oblepiały żółte karteczki, a duży roczny terminarz wiszący na ścianie był wypełniony czerwonymi notatkami.

Jego książki leżały jak zwykle w czarnej plastikowej skrzyni, która stała w najciemniejszym rogu. Wcześniej ich miejsce było na biurku, ale odkąd Sabine przejęła interes po ojcu, skrzynia oddalała się stopniowo w najmniej dostępny kąt. I z każdym dniem traciła coraz więcej na zawartości. Nie było już zbyt

wielu osób, którym Carl przynosił książki. Z roku na rok ich liczba malała.

– Drogi panie Kollhoff! A co pan powie o meczu? Jak ten sędzia mógł podyktować rzut karny? Do tej pory jestem na niego wściekły.

Leon, nowy praktykant, wyłonił się z maleńkiej toalety dla personelu – a wraz z nim obłok dymu papierosowego. Ktokolwiek inny wiedziałby, że nie ma sensu zadawać Carlowi takiego pytania. Bo Carl nie oglądał wiadomości, nie słuchał radia i nie czytał gazet. Jak sam czasami przyznawał, odsunął się trochę od świata. To była świadoma decyzja, bo te wszystkie doniesienia o nieudolnych głowach państw, topnieniu czap polarnych i cierpieniu uchodźców smuciły go bardziej niż najsmutniejszy dramat rodzinny, o jakim czytał w książce. Zrobił to w samoobronie, nawet jeśli przez to jego świat znacznie się zmniejszył. Teraz miał raptem dwa kilometry na dwa, a Carl codziennie odmierzał krokami jego granice.

– A czytał pan tę cudowną książkę o piłce nożnej, którą napisał J.L. Carr? – spytał Carl, zamiast przyznać rację praktykantowi.

– Jest o naszym klubie?

– Nie, o drużynie Steeple Sinderby Wanderers.

– Nie czytałem. Ale ja i tak właściwie nie czytam książek. No, chyba że z musu. Czyli do szkoły. A nawet wtedy zwykle oglądam tylko ekranizację. – Uśmiech-

nał się szyderczo, jakby to nie z siebie robił durnia, tylko z nauczycieli.

– To czemu odbywasz praktyki akurat tutaj?

– Moja siostra też je tutaj odbywała, trzy lata temu. Mieszkamy tuż za rogiem, mamy blisko. – Przemilczał fakt, że ci, którzy nie załatwili sobie żadnych praktyk, musieli przez dwa tygodnie pomagać wóz-nemu. Ten z kolei wykorzystywał tę okazję, aby się na nich zemścić – w zastępstwie całej uczniowskiej braci – i zaprzęgał ich do poniżających prac za zabazgrane ściany, stare gumy przyklejone pod ławkami i niedojedzone kanapki w kwietnych rabatach.

– A twoja siostra lubi czytać?

– Po tamtych praktykach już tak. Ale mnie to nie grozi!

Carl się uśmiechnął, bo domyślał się, dlaczego siostra Leona zaczęła czytać. Jego były szef Gustav Gruber, który mieszkał teraz w domu seniora Przy Katedrze, dobrze wiedział, jak postępować z ludźmi stroniącymi od czytania, takimi jak Leon czy jego siostra. Kazał im wycierać z kurzu kartki z życzeniami zapakowane w foliowe koszulki, i to każdą z osobna. Praca była tak nudna, że praktykanci z rozpaczyc się-gali po książki, które Gustav umieszczał strategicznie w ich pobliżu. Gustav Gruber nawrócił ich wszystkich. Gustav Gruber dogadywał się także z dziećmi, które dla Carla były niczym obce istoty. Tak było nawet wte-

dy, kiedy Carl sam był dzieckiem. A im więcej czasu dzieliło go od dzieciństwa, tym bardziej wydawały mu się one obce i osobliwe.

Stary Gruber podszedł siostrę Leona powieścią o wampirze, który zakochał się w młodej dziewczynie. Leonowi, który najwyraźniej był w fazie dojrzewania, podsunął z kolei książkę, która nie była zbyt gęsto zadrukowana, a na jej okładce widniała śliczna nastolatka. Stary Gruber zwykł mawiać: „Nieważne, co się czyta, ważne, że się czyta”. Carl nie powiedziałby tego o wszystkim, co ukazało się drukiem, bo niektóre myśli zawarte między okładkami były niczym jad – choć znacznie częściej w papierze tkwiło lekarstwo. Czasami nawet na to, co z pozoru nie wymagało leczenia.

Ostrożnie wyciągnął czarną skrzynię z kąta. Dziś znajdowały się w niej tylko trzy książki. Leżały na samym dnie zupełnie niepotrzebne. Carl znalazł szary papier i sznurek, i zaczął pakować książki jak prezenty. Sabine Gruber mówiła mu wielokrotnie, że powinien sobie odpuścić i zaoszczędzić na kosztach, ale on uparcie obstawał przy swoim, bo właśnie tego oczekiwali jego klienci. Carl nie był tego świadomy, ale za każdym razem, kiedy przystępował do pakowania książki, najpierw przesunął po niej czule ręką.

Wziął swój oliwkowy plecak wojskowy, który chociaż był już nadgryziony zębem czasu, dzięki trosce

i miłości Carla wciąż jeszcze trzymał się całkiem dobrze. Na razie był pusty, ale sposób, w jaki układały się fałdy, zdradzał, że to nie był jego naturalny stan. Dno wyścielone było miękkim wełnianym kocem i Carl włożył książki delikatnie – jakby to były małe szczenięta, które miał zanieść nowym właścicielom. Rozmieszczał je tak, żeby największa z trzech znajdowała się najbliżej jego pleców, a najmniejsza najdalej, bo dzięki wybrzuszeniu materiału nie groziło jej uszkodzenie.

Miał już wychodzić, ale po chwili namysłu zwrócił się jeszcze do Leona.

– Proszę, przetrzyj kartki z życzeniami. Pani Gruber na pewno się ucieszy. Najlepiej, jak przyniesiesz je wszystkie tutaj, wtedy nikt ci nie będzie przeszkadzał. Ja robiłem to zawsze przy biurku. – Szybko położył na blacie książkę Nicka Hornby’ego *Futbolowa gorączka*, którą właśnie wypatrył na regale. Boisko piłkarskie na okładce uwodziło zielenią – przez co Ursel Schäfer z całą pewnością nie zaszczyciłaby jej spojrzeniem.

Carl nazywał to „swoją rundką”, jego trasa przez śródmieście prowadziła zwykle po wieloboku – bez kątów prostych, bez jakiegokolwiek symetrii. Tam, gdzie niczym resztki starczych zębów wyrastały ruiny miejskich murów, kończył się jego świat. Od trzydziestu

czterech lat Carl nie przekroczył jego granic, bo wewnątrz nich znajdowało się wszystko, czego potrzebował do życia.

Carl Kollhoff dużo chodził i równie dużo myślał – czasami miał wrażenie, że jest w stanie myśleć tylko wtedy, kiedy idzie. Jakby dopiero odgłos własnych kroków na bruku wprawiał w ruch jego myśli.

Kiedy szło się przez miasto, z początku niekoniecznie było to widać, ale każdy gołąb i każdy wróbel wiedział, że ma ono kształt koła. Wszystkie stare domy i uliczki były skierowane ku imponującej katedrze, która wznosiła się w centrum. Gdyby miasto było częścią makiety kolejowej, można by pomyśleć, że katedra została wybudowana w złej skali. Pochodziła z krótkiego okresu, kiedy miasto było bardzo zamożne. Zanim jednak jej budowa dobiegła końca, dobre czasy minęły, dlatego jednej wieży nigdy nie ukończono.

Wokół katedry stały pełne czci domy. Niektóre z tych naprawdę starych wręcz chyliły przed nią lekko czoła. Najdalej trzymały się od głównego wejścia, wskutek czego powstał przed nim największy i najpiękniejszy plac w mieście – plac katedralny.

Gdy tylko Carl na niego wkroczył, ogarnęło go dziwne uczucie, że jest obserwowany, jak bezradna sarna na polanie, wystawiona na spojrzenia i lufy myśliwych. Na tę myśl Carl aż się uśmiechnął, bo normal-

nie nigdy nie czuł się jak sarna. Na placu katedralnym zapach miasta był najbardziej intensywny. W XVII wieku znajdowało się ono pod oblężeniem. Zgodnie z legendą pewien piekarz wymyślił nowy rodzaj wypieku, który miał kształt koła ze szprychami nadzianego kremem czekoladowym i oprószonego cukrem pudrem. A potem poszedł z tym do oblegających miasto żołnierzy i przekazał im prośbę mieszkańców, aby się wycofali. W rzeczywistości to bardzo kaloryczne ciasto zostało wymyślone dopiero dwieście lat później, co poświadczają dokumenty, ale ta historia była wciąż opowiadana, a przyjezdni chętnie w nią wierzyli.

Carl przemierzał plac zawsze po tym samym bruku, w równym, wolnym tempie. Jeśli coś stało mu na drodze, czekał, a potem przyspieszał kroku, żeby nadrobić stracony czas. Trasa, którą przemierzał, była tak obrana, że nawet w ruchliwy dzień targowy dało się ją pokonać bez przeszkód. Poza tym biegła z dala od czterech piekarni z „pudrowanymi kołami”, bo Carl nie mógł już znieść zapachu tych ociekających tłuszczem gorących wypieków.

Skręcił w Beethovenstraße, która przypominała raczej alejkę i nie oddawała sprawiedliwości wielkiemu kompozytorowi. Pewien pracownik biura planowania przestrzennego spełnił się, nazywając cały ciąg ulic na cześć słynnych kompozytorów, przy czym największa upamiętniała jego ulubieńca Schuberta.

Carl Kollhoff nie był tego świadomy, ale w tym momencie znajdował się dokładnie w centrum swojego świata. Z dwóch stron odgradzały go linie tramwajowe – osiemnaście i pięćdziesiąt siedem (choć linii w mieście było raptem siedem, to zabieg ten sprawiał, że mogło wydawać się metropolią, przynajmniej jeśli chodzi o komunikację miejską). Z trzeciej strony, od północy, jego granicę wyznaczała droga ekspresowa, z czwartej zaś rzeka, która przez większą część roku zadowalała się nastrojowym szemraniem i tylko przez kilka wiosennych dni pozwalała sobie wystąpić z brzegów. Niczym młody lew, który od czasu do czasu ryknie, choć jego struny głosowe nie do końca jeszcze potrafią temu podołać.

Dziś po raz pierwszy Carl zboczył z trasy, skręcając w Saliergasse, która prowadziła do domu Christiana von Hohenescha. Jego willa z ciemnego kamienia stała nieco na uboczu, tak że okazjonalny przechodzień nawet nie widział, jaka jest cudowna. Przypominała przyczajonego czarnego łabędzia, który tylko czekał na to, aby rozpostrzeć okazałe skrzydła. Za nią rozciągał się prostokątny park okolony wielkimi bukami. Znajdowały się w nim trzy ławki, dzięki którym Christian von Hohenesch mógł o każdej porze dnia cieszyć się lekturą książki w promieniach słońca.

Carl wiedział, że Hohenesch posiada duży majątek, nie wiedział jednak, że jest najbogatszym człowiekiem

w mieście. Nikt tego nie wiedział, nawet Hohenesch, bo nigdy nie porównywał się z innymi. Jego rodzina parała się z dziada pradziada garbowaniem skór nad rzeką. Dorobiła się na tym fortuny i zdołała jej nie stracić pomimo industrializacji. Dlatego Christian von Hohenesch nie musiał pracować. Robiły to za niego akcje i depozyty. On zarządzał jedynie zarządcami swojego majątku. Raz dziennie przychodziła gosposia, która mu gotowała i sprzątała prawie nieużywane pokoje, raz w tygodniu zjawiał się ogrodnik, który pilnował, aby światło słoneczne nadal znajdowało drogę do czytanych przez niego stron, i raz w miesiącu przyjeżdżała firma konserwatorsko-dozorcza. Od poniedziałku do piątku Carl przychodził z nową książką, którą Christian von Hohenesch na ogół zdążył już przeczytać do następnego dnia. O ile Carl się orientował, Hohenesch od wieków nie opuszczał swojego królestwa.

Carl pociągnął za miedzianą pałeczkę. Z wnętrza willi dobiegł niski odgłos dzwonka. Jak zwykle gospodarz domu potrzebował trochę czasu, żeby przemierzyć długi ciemny hol i otworzyć ciężkie skrzypiące drewniane drzwi, ale tylko na szerokość szpary. Christian von Hohenesch nie wychodził nigdy na zewnątrz. Był przystojnym ciemnowłosym mężczyzną – wysokim, o wydatnych kościach policzkowych nadających szlachetności jego rysom i wyraźnie zarysowanym podbródkiem. Roztaczał wokół siebie aurę

smutku, który zalegał na wszystkim niczym szary puder. Jak zwykle miał na sobie granatowy dwurzędowy garnitur ze świeżym białym storczykiem w bu-tonierce. Jego czarne skórzane buty błyszczały, jakby wybierał się właśnie na bal w operze. Hohenesch był znacznie młodszy, niż można było przypuszczać po jego ubraniu. Miał raptem trzydzieści siedem lat. Ale już za młodu nosił garnitury, w których czuł się tak swobodnie, jak inni w dzinsach.

– Panie Kollhoff, spóźnił się pan. Umówiliśmy się na kwadrans po dziewiętnastej – powiedział Hohenesch na powitanie.

Carl skinął głową, jakby to było coś najnormalniejszego na świecie. Potem ostrożnie wyjął z plecaka zamówioną książkę.

– Proszę, pańska nowa powieść. – Wyrównał kokardkę, bo lekko się przekrzywiła w transporcie.

– To pan mi ją polecił. Mam nadzieję, że słusznie. – Hohenesch przyjął książkę, ale jej nie rozpakował. Opowiadała o edukacji Aleksandra Wielkiego przez Arystotelesa. Hohenesch czytał wyłącznie teksty filozoficzne.

Wręczył Carlowi napiwek, którego wysokość zawsze była uzależniona od wagi książek. Tę, rzecz jasna, wcześniej sprawdził.

– Następnym razem proszę być punktualnie. Punktualność jest grzecznością królów.

– Życzę panu miłego wieczoru. Do zobaczenia.
– Wzajemnie. – Christian von Hohenesch zamknął ciężkie drzwi. I willa znów wyglądała tak, jakby nikt w niej nie mieszkał.

Gospodarz domu chętnie zamieniłby parę słów o książkach i ich autorach z Carlem, którego uważał za wykształconego człowieka o dobrych manierach, za pokrewną duszę. Ale z czasem zabrakło mu słów na zaproszenia. Zapewne pogubił je w licznych pokojach swojej wielkiej willi.

Carl opuścił dom Christiana von Hohenescha – choć właściwie był to dom kogoś innego. Bo dla Carla nasz prawdziwy świat był odbiciem powieści. Dla niego miasto zamieszkiwały postaci z książek, chociaż te żyły w zupełnie innych czasach bądź też w odległych krajach. Kiedy Christian von Hohenesch po raz pierwszy otworzył mu ciężkie drzwi swojej willi, Carl ujrzał w nim bohatera *Dumy i uprzedzenia*, wspaniałej powieści Jane Austen. Zatem teraz tak naprawdę opuścił rezydencję Pemberley w XVIII-wiecznym Derbyshire i jej mieszkańca Fitzwilliama Darcy’ego, zamożnego, inteligentnego dżentelmena, który pomimo całej swojej ogłady często wydawał się arogancki i szorstki.

U podstaw tej osobliwej skłonności Carla leżało to, że nigdy nie miał pamięci do imion i nazwisk, chyba że chodziło o postaci z powieści. Tak było

już w szkole, kiedy dzieciaki nadawały nauczycielom różne przezwiska, zwykle mało pochlebne, jak Szczota, Usypiacz, Szczerba. Ale dla Carla nazywali się oni Odyseusz, Tristan, Guliwer. Kiedy zdał maturę, w przeciwieństwie do swoich rówieśników nie przestał wymyślać przezwisk. I tak oto młody punk w wytartym mundurze, którego w czasie studiów zawsze spotykał po drodze do księgarni, został dzielnym wojakiem Szwejkem. Z kolei kobieta, u której kupował jabłka, była królową z *Królowny Śnieżki* – na szczęście nie zatrzuwała owoców. W którymś momencie Carl zdał sobie sprawę, że jego miasto jest pełne fikcyjnych postaci, że każdy mieszkaniec ma swój literacki odpowiednik. W kolejnych latach poznał Sherlocka Holmesa, który był naczelnikiem wydziału zabójstw miejskiej policji, a nawet lady Chatterley, która często otwierała drzwi w zwiewnym kimonie i w której jako młody chłopak trochę się zadurzył. Niestety w końcu wyjechała z Adsonem z Melku. Kapitan Ahab miał obsesję na punkcie grasującego w jego ogrodzie wielkiego kreta, którego nie mógł upolować. Był też Walter Faber, schorowany inżynier, któremu Carl aż do śmierci przynosił książki o Ameryce Południowej. Z kolei hrabia Monte Christo mieszkał w budynku z okratowanymi oknami, w którym dawniej mieściło się więzienie i który teraz niejako przetrzymywał swojego nowego właściciela w zamknięciu.

Carl niemal zawsze znajdował dla kogoś pasujące literackie imię, zanim wbijał sobie do głowy to prawdziwe, zupełnie jakby jego pamięć chciała go chronić przed zajmowaniem się przyziemnymi sprawami. A potem ilekroć patrzył na nazwisko, którym dana osoba na co dzień się posługiwała, nawet go już nie widział. Gdzieś po drodze z siatkówki do mózgu litery składające się na przykład na Christiana von Hohe-nescha w magiczny sposób zmieniały się w Pana Darcy'ego, a Carl nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Tylko w wyjątkowych sytuacjach jego mózg litościwie podsuwał mu to właściwe, doczesne nazwisko.

Zresztą zbyt wielu i tak nie musiał już zapamiętywać.

Kręte uliczki zaprowadziły Carla do postaci literackiej, której los był zdecydowanie bardziej ponury niż los brytyjskiego dżentelmena, bo ten ostatecznie znalazł szczęście u boku żony.

Jego klientka czekała za drzwiami i patrzyła przez wizjer na nieliczne osoby, które mijały jej dom. Nikt się tędy nie przechadzał ot tak, nikt nie podziwiał budynków, bo te ładne znajdowały się wiele przecznic dalej. W tej części starówki wszyscy się śpieszyli, bo nie mogli znieść przytłaczającej ciasnoty i mieli wrażenie, że szczyty domów się nad nimi zwierają, jakby chciały uniemożliwić dopływ dziennego światła.

Drobna młoda kobieta przyczajona za wizjerem wiedziała, w jakim przedziale czasowym może się spodziewać Carla. Wiedziała też, że głupotą było tak sterczeć przy drzwiach i go wypatrywać, zamiast czekać w salonie na dźwięk dzwonka, ale nie mogła się powstrzymać. Andrea Cremmen założyła za ucho kosmyk blond włosów i poprawiła sukienkę. Już od przedszkola zawsze była najładniejsza, dzięki czemu doświadczyła dużo przychylności, ale też zawiści. I wyszła wcześniej za mąż za Matthiasa, człowieka sukcesu z branży ubezpieczeniowej, który harował do późna również wieczorami i w weekendy, żeby zapewnić im dobre życie. Andrea była dyplomowaną pielęgniarką, teraz jednak pracowała tylko na pół etatu jako asystentka lekarza w małej prywatnej praktyce, gdzie posadzono ją w recepcji, bo jej widok radował i uspokajał pacjentów. Nikt nie musiał jej mówić, że ma się uśmiechać, Andrea po prostu to robiła, bo bycie ładną tego wymagało. Kto jest ładny, ale się nie uśmiecha, uchodzi za aroganta. Dlatego uśmiechała się przez cały dzień.

Nigdy nie ośmieliła się wyglądać inaczej niż perfekcyjnie, bo jak by mogła? Co widzieliby w niej wówczas ludzie, czy w ogóle byłoby na co patrzeć? Carl Kollhoff sprawiał wrażenie człowieka, któremu mogłaby się pokazać bez uśmiechu. Bo on znalazłby odpowiednie słowa, żeby opisać to, co widzi. Dla Andrei

był kimś, kto dobierał słowa tak samo ostrożnie, jak perfumiarz dobiera składniki drogich perfum. Przystała się więc uśmiechać i ponownie wypuściła niesforny kosmyk, pozwalając sobie na lekką niedbałość.

Kiedy jednak ujrzała go w uliczce, szybko zatknęła włosy z powrotem za ucho.

Carl nacisnął dzwonek i czekał. Andrea Cremmen zwykle potrzebowała trochę czasu, żeby dotrzeć do drzwi, i była zawsze lekko zasapana. Mimo to za każdym razem mile go witała.

Usłyszał nerwowe przekręcanie klucza w zamku, a potem drzwi się otworzyły.

– Panie Kollhoff, ależ jest pan dzisiaj wcześniej! Nie spodziewałam się pana o tej porze. Pewnie wyglądam okropnie. – Przesunęła dłonią po pięknej błyszczącej fryzurze, która pasowała idealnie do jej eleganckiej sukienki w czerwone róże.

Carl uważał, że jest olśniewająca, a jednak za każdym razem widok Andrei sprawiał, że było mu trochę smutno. Bo za tą całą piękną fasadą kryło się jeszcze coś, czego nie potrafił nazwać – i miało związek z tym, co właśnie wyjął z plecaka. Była to kolejna powieść z rodzaju tych, które Andrea Cremmen uwielbiała czytać. Carl nie miał problemu z ciężarem książki (lubił, kiedy miały właściwą wagę – nie były tak lekkie jak tabliczka czekolady ani tak ciężkie jak litr mleka), niepokoiła go raczej waga jej treści.

– Dobra jest? – spytała Andrea Cremmen i poprawiła kokardkę przy paczce.

– O ile mi wiadomo, *Cienista róża* w niczym nie ustępuje innym dziełom tej autorki.

– Jest bardzo dramatyczna?

Teraz to Carl się uśmiechnął. On i Andrea mieli ciche porozumienie. Każda książka, którą jej przynosił, była dramatyczna i kończyła się tragicznie. W przeszłości czasami polecał jej historie z happy endem, ale te się jej nie podobały. Uważała, że są za mało realistyczne. Andrea Cremmen uwielbiała powieści, w których główna bohaterka cierpiała i na końcu umierała albo żyła dalej, samotna i nieszczęśliwa. Otwarte zakończenia tolerowała tylko wtedy, kiedy dopuszczały którąś z tych dwóch możliwości.

– Jak zwykle niczego nie zdradzę – powiedział Carl. – A podobała się pani ostatnia powieść?

Andrea Cremmen westchnęła ciężko i pokręciła głową.

– Była taka smutna! Bohaterka na samym końcu się utopiła... Czemu mnie pan nie ostrzegł? – Nadąsała się żartobliwie.

– Przecież nie wolno mi tego robić.

Dawniej owijał książki w radosny, kolorowy papier prezentowy. Ale czuł się przy tym jak oszust.

– Przyniesie mi pan za tydzień kolejną? Słyszałam o takiej, w której przez cały czas trwa noc, bo akcja

toczy się podczas zimy na Grenlandii. A główna bohaterka dopiero co straciła dziecko. Wie pan, o którą mi chodzi? Zapowiada się ciekawie.

Carl znał tę książkę. Miał nadzieję, że Andrea Cremmen się o niej nie dowie.

– Oczywiście, przyniosę. – Nie dodał, że zrobi to chętnie, bo minąłby się z prawdą.

– Poleci mi pan coś jeszcze?

– Ostatnio wyszedł kryminał, który rozgrywa się w naszym mieście. Jeszcze go nie czytałem, ale podobno jest całkiem zabawny.

Andrea Cremmen machnęła ręką.

– Czy pana zdaniem mógłby mi się spodobać?

Carl postanowił, że nie będzie kłamał. Kłamstwa raz puszczonego w świat nie da się już zatrzymać.

– Nie.

– Też tak myślę.

– Ale mógłby panią rozśmieszyć. Mam nadzieję, że pani nie urażę, jeśli powiem, że ma pani wyjątkowo ładny uśmiech. Na pewno wie pani, co mówił Charlie Chaplin: „Dzień bez uśmiechu jest dniem straconym”. A na tym świecie i tak danych jest nam za mało dni, aby jeszcze jakiś tracić. – Czegoś takiego nigdy dotąd nie powiedział. Może tego dnia Andrea Cremmen była jeszcze bardziej smutna niż zwykle i on to wyczuł? Carl nie miał pojęcia. Czasami z jego ust wyskakiwały słowa, których nie uzgodnił z głową.

Andrea Cremmen przestała się uśmiechać, za to jej dolna warga zaczęła lekko drżeć.

– Właśnie umilił mi pan dzień. Dziękuję! – To rzekłszy, bezzwłocznie zamknęła drzwi.

Z punktu widzenia Carla nie zrobiła tego Andrea Cremmen, tylko smutna, zbyt wcześnie wydana za mąż Effi Briest. Jej los był tak samo tragiczny, jak los wielu innych kobiet, o których czytała Andrea. Carl bardzo by chciał zrobić dla niej coś więcej, niż tylko przynosić powieści, które wprawdzie pokazywały, że inni też cierpią, ale nie wyjaśniały, jak położyć temu kres.

Za drzwiami Andrea Cremmen stłumiła łzy. Chętnie by mu opowiedziała, co wydarzyło się tego dnia. Ale wówczas to wszystko ponownie by do niej wróciło, a tego nie chciała. Drżącymi rękami rozpakowała paczkę i zaczęła czytać jeszcze w przedpokoju.

Już na pierwszej stronie ktoś odebrał sobie życie.

Carl przeszedł kilka kroków i nagle obok usłyszał ciche miauczenie. Kiedy spojrział w dół, zobaczył wychudzonego trójnożnego kota, który się mu przyglądał. Sierść miał pokrytą strupami, uszy poszarpane, zapewne w wyniku stoczonych walk. Carl nie wiedział, czy to kocur czy kotka ani gdzie jest jego dom, o ile w ogóle jakiś miał. Wiedział jednak, że są

dobrymi przyjaciółmi. Inni mieli zwierzęta domowe, a on miał zwierzę spacerowe.

– Cześć, Psie – powiedział z uśmiechem do kota. Nazwał go tak, bo zwierzak zachowywał się jak pies. Szedł przy nodze, wszystko obwąchiwał i znaczył swój teren. Pies nie miauczał, Pies warczał. Kiedy Carl był u klientów, Pies nigdy nie siadał, tylko się kładł. Mógł leżeć zawsze i wszędzie, nawet na najwęższej poręczy.

Pies przylgnął do nogawki Carla, a potem pobiegł przed siebie, oglądając się niecierpliwie na swojego przyjaciela. Mądre zwierzę chyba wiedziało, że przy trzeciej książce, którą Carl miał dziś doręczyć, dostanie coś do jedzenia. Cztery skrzyżowania dalej przy pawilonie Elisenbrunnen mieszkała starsza pani, która była kompletnym przeciwieństwem Effi Briest – wręcz entuzjastycznie radosna i zawsze kolorowo ubrana. Często nosiła skarpetki lub buty nie do pary albo chodziła w ogrodniczkach z jedną szelką opadającą na ramię. W jej mieszkaniu piętrzyły się góry rzeczy, między którymi biegły wąskie doliny i wąwozy. Przypominała Carlowi pewną postać z książki dla dzieci, zwariowaną dziewczynkę, która urządziła sobie świat wedle własnego uznania. Tylko że starsza pani nigdy do tego świata nie wychodziła, ponieważ bała się przebywać pod gołym niebem.

To wydarzyło się nieco ponad siedem lat temu. Był piękny letni dzień, który kobieta spędzała ze swoim

mężem, siedząc w ogrodzie w cieniu orzecha włoskiego. Nagle nadciągnęła burza – z deszczem, wichurą i przede wszystkim z ogromną siłą. Oboje zdążyli już skryć się w domu, kiedy sobie przypomnieli, że z lenistwa zostawili na ulicy kubły na śmieci – na co sąsiedzi zwykle się skarżyli. Dlatego mąż kobiety wyszedł na dwór, chociaż ona próbowała go od tego odwieść. Powiedział: „To nie potrwa długo. Zaraz wrócę”, a potem dodał: „Co też może mi się stać?”. I wtedy wiatr porwał z ich dachu obluzowaną dachówkę, zmieniając ją w pocisk, w kontakcie z którym jego nieosłonięta głowa nie miała żadnych szans.

Od tamtej pory kobieta przestała się przejmować tym, co pomyśla sobie sąsiedzi. I od tamtej pory już nigdy nie wyszła na zewnątrz.

Otwierając drzwi, nie mówiła: „Dzień dobry, panie Kollhoff” ani: „Witam”, ani też: „Miło pana widzieć”. Mówiła za to: „Chłepliwy”, „Handlował uważanymi samochodami” albo „Proszę o wypaczenie”. A dzisiaj, kiedy Carl nacisnął dzwonek, z szerokim uśmiechem rzuciła: „Idologia”.

I teraz zadaniem Carla było znalezienie wiarygodnej i pasującej definicji tego słowa.

– Idologia, od „idzie się”, to teoria wędrówki, którą odbywamy w poszukiwaniu własnego ja oraz sensu życia, i nawiązuje do bajki *O wędrowaniu* ze zbioru *Baśni dla dzieci i dla domu* braci Grimm. U podstaw

tej koncepcji leży przeświadczenie, że w każdym z nas tkwi wędrowiec, który czuje niepokonany popęd do podróży i idąc w świat, odkrywa, że w trakcie takiej wędrówki można się wiele nauczyć, a nawet dostać solidną nauzkę. Sam termin „idologia” pojawił się po raz pierwszy w literaturze w 1923 roku w dziele Zygmunta Freuda *Ego i id, i idologia*.

W nagrodę Pani Langstrumpf dała mu wiśniowego cukierka. Raz, kiedy jego wyjaśnienie było niezbyt trafne, dostał cytrynowego. On z kolei wręczył jej zamówioną książkę. Na papierze, w który pakował jej zamówienia, rysował zawsze duży czerwony kwiat. Pani Langstrumpf czytała dosłownie wszystko, od klasycznych powieści podróżniczych po science fiction i książki humorystyczne. Ale tylko rzeczy lekkie, nic, co zmuszałoby ją do zejścia z obłoków na ziemię.

– Pojutrze będę miała dla pana kolejne słowo – powiedziała, zanim zamknęła drzwi. – Wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia. – Następnie nachyliła się do Psa i wyjęła z kieszeni coś, co ten pożarł jednym kęsem.

Chociaż Carl miał już pusty plecak, musiał jeszcze odwiedzić jednego klienta. Każda wizyta u niego była czystą przyjemnością, mówił bowiem najcieplejszym barytonem, jaki Carl kiedykolwiek słyszał. Gdyby można było obić sofę brzmieniem czyjegoś głosu, należałoby użyć wyłącznie tego barytonu. Dla Carla

Kollhoffa ów mężczyzna był Lektorem, jak z powieści Bernharda Schlinka o takim właśnie tytule, opowiadającej o młodym Michaelu Bergu, który zakochał się w o dwadzieścia lat starszej kobiecie i czytał jej na głos książki. Tylko że klient Carla czytał je pracownikom fabryki cygar, która powstała dopiero przed kilkoma laty i była jedyną taką w kraju, toteż mogła sobie pozwolić na rozwiązanie, które stosowano też na Kubie. Był to przede wszystkim chwyt marketingowy, więc Lektor zarabiał niewiele, ale tak bardzo kochał swoją pracę, że ciągle owijał szyję szalem, chcąc rozgrzać struny głosowe. Ponadto poza murami fabryki odzywał się rzadko, żeby oszczędzać głos. Dlatego była to niemal mała sensacja, kiedy zadzwonił do Carla prywatnie i poprosił go, aby przyniósł mu tabletki na gardło, które były dostępne tylko w aptece obok księgarni. Lektor nie chciał wychodzić z domu, jako że przez miasto przetaczała się właśnie fala grypy. Pewnie też z tego względu dzisiaj tylko uchylił drzwi. Kiedy przez szparę odebrał od Carla paczkę z pastylkami, a potem posłał mu pełen wdzięczności uśmiech, wręczając pieniądze wraz z hojnym napiwkiem (którego Carl nie chciał przyjąć, bo wiedział, jak niezamożny jest Lektor, od razu poczęstował się jedną tabletką i znów zamknął drzwi do swojego czynszowego mieszkania, które mieściło się na poddaszu zwyczajnej, nieciekawej kamienicy. Podczas jej budo-

wy oszczędzano na wszystkim, co mogłoby jej dodać uroku i ciepła. Był to zwykły budynek użytkowy, tak jak klatki, w których trzymano kury.

Carla zawsze ogarniał smutek, kiedy jego plecak był już pusty, bo to oznaczało, że musi wracać do domu. Nie żeby nie lubił swojego mieszkania, ale Pies nigdy nie szedł z nim aż tak daleko, a za jego drzwiami nie czekał nikt, kto się o niego ocierał i patrzył pełnym nadziei wzrokiem, kiedy chciał, żeby go pogłaskano. Ostatni odcinek drogi prowadził zwykle przez miejski cmentarz. To Carla uspokajało. Wiedział, gdzie jego wędrówka kiedyś dobiegnie końca, dzięki czemu nie było to takie przerażające. Zapewne nie bez znaczenia było też to, że cmentarz był naprawdę piękny. Miał przeszło dwieście lat, a stojący w jego centrum posąg ponurego kościstego kosiarza zdawał się znacząco uśmiechać.

Na tabliczce przy dzwonku Carla widniał napis E.T.A. Kollhoff, co było kłamstwem, przynajmniej połowicznym, bo zgadzało się tylko nazwisko. Carl od zawsze podziwiał pisarza E.T.A. Hoffmanna – ze względu na jego inicjały. Bo kto mógł się pochwalić aż trzema? Może jeszcze J.R.R. Tolkien, a w dziedzinie muzyki C.P.E. Bach. Trzy inicjały miały w sobie coś wyjątkowego, za nimi mogło się wiele kryć. Jakaś tajemnica – i odpowiedź na pytanie, dlaczego ich posiadacz nie ujawniał swojego pełnego imienia.

Czasami zdarzało się, że listy adresowane do Carla wracały niedostarczone, bo nowy listonosz nie wiedział, że to właśnie on ukrywa się za tymi trzema literami. Ale Carl mimo to nie zmienił tabliczki – miał już na karku siedemdziesiąt dwa lata i tak czy siak rzadko dostawał pocztę. A jeśli już, to nigdy nie było to coś, co dawało powód do radości, więc spokojnie mogło sobie jeszcze trochę poleżeć w centrum doręczeń.

W mieszkaniu Carla było za dużo pokoi. W sumie cztery, a do tego mała kuchnia, łazienka bez okna i toaleta, również bez okna. Czasami przypominały mu grządki, na których nigdy nic nie wyrosło. Bo dwa pokoje były przeznaczone dla jego dzieci. Jeden, wychodzący na zielony dziedziniec, miał być dla dziewczynki, a drugi, z oknem na ulicę, z którego można obserwować przejeżdżające samochody, dla chłopca. Carl nie znalazł sobie jednak nigdy żony, z którą chciałby mieć dzieci. Ale mieszkanie zatrzymał. Przez te wszystkie lata czynsz nigdy nie wzrósł, pewnie dlatego, że nikt o nim nie pamiętał.

Carl mieszkał tu z rodziną z papieru, którą chronił przed światłem i kurzem za mlecznymi szybami witryn. Książki chciały, aby je w kółko czytał. Tak jak perły, które lubią być noszone, bo wówczas są jeszcze piękniejsze, a nawet bardziej jak zwierzęta, które lubią, kiedy się je głaszcze, bo wówczas czują się kocha-

ne. Carl miał czasami wrażenie, że wszystkie zawarte w nich słowa składają się z komórek jego ciała, choć wiedział przecież, że z biegiem lat po prostu je w sobie wczytał.

Rozumiał ludzi, którzy zbierają książki, tak jak inni znaczki pocztowe. Którzy chętnie przesuwiają wzrokiem po ich grzbietach, bo w książkach mieszkają inni ludzie, z którymi czują pewną więź – a to dlatego, że dzielą te same losy. Albo chętnie by je dzielili. Którzy otaczają się książkami, jakby były ich dobrymi przyjaciółmi, z którymi wynajmują wspólne mieszkanie.

Powiesił swoją zieloną kurtkę na wieszaku za drzwiami, a obok plecak, i poprawił je, żeby wisiały równo. Potem poszedł do maleńkiej kuchni, gdzie przy stole z laminatu zrobił sobie kanapkę z chleba razowego z masłem i solą. Wypił do niej szklankę soku z kiszzonej kapusty, a następnie zagryzł zielonym jabłkiem pokrojonym w ćwiartki.

W ogłoszeniu było napisane, że to mieszkanie „z balkonem”. Jednak ten składał się tylko z żeliwnej balustrady zamontowanej przed kończącymi się równo z podłogą dwuskrzydłowymi szklanymi drzwiami, obok których stał jego stary uszak. Na fotelu zaś leżała książka z paragonem służącym za zakładkę. Z tego miejsca Carl mógł spoglądać na starówkę, co też właśnie znów robił. Żeby sprawdzić, czy nie idzie któryś z jego klientów albo czy Pies nie skacze po dachach,

czego akurat nie robił nigdy. Carl czytał zwykle równo do dwudziestej drugiej, potem się mył i szedł spać. Kiedy przykrywał się kołdrą, czynił to ze świadomością, że nazajutrz znowu będzie mógł dostarczyć kilka jakże wyjątkowych książek swoim jakże wyjątkowym klientom.